

Sternik

tygodnik dla młodych

ROK II Nr. 21

WARSZAWA, 14 GRUDNIA 1930 R.

CENA 30 GROSZY



OGÓLNY WIDOK WODOSPADÓW NIAGARY
(do art. na str. 3).

WARTOŚCI NIEZNISZCZALNE

W tych dniach odbył się w Krakowie ogólnopolski zjazd historyków, za dwa lata zaś będziemy gościli w Polsce ogólnoswiatowy zjazd historyków. Wobec innych wydarzeń dnia, wobec tych wszystkich wiadomości, jakich pełne są szpalty codziennych pism, nie zatrzymujemy swej myśli na zagadnieniu naukowego zjazdu.

A przecież właśnie nauka polska jest tem, co przynosi zaszczyt naszemu imieniu, co czyni Polskę znaną całemu światu. Jakżeż wielkie znaczenie teraz dla Polski będzie miał fakt, że oto historycy całej kuli ziemskiej zjadą się w Krakowie, tej kolebce naszej kultury i naszej sztuki. Bo przecież większości tych uczonych, którzy tworzą opinie naukowe w swoich społeczeństwach, Polska znana jest tylko „ze słyszenia”. Dzieje tej części Europy, która znajduje się na wschód od Łaby, rzadko są przedmiotem studjów zachodnich uczonych, to też ogromne znaczenie będzie miał fakt, że wszyscy ci ludzie zobaczą na własne oczy naszą starą kulturę i jej pomniki.

Wspomniany zjazd nie będzie pierwszym międzynarodowym kongresem, jaki się odbywa w Polsce. Przeciwnie, w ciągu tych niewielu lat naszego niepodległego bytu potrafiliśmy już zorganizować szereg kongresów i zjazdów. Zawdzięczamy to przede wszystkim temu, że uczeni nasi wybili się na wielu międzynarodowych zjazdach, pozyskując tem zaufanie do Polski. I tak np. wiceprzewodniczącym międzynarodowego związku matematyków jest polak, prof. Sierpiński. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że zarząd tego związku jest w Ameryce, to tem więcej musimy cenić zaszczyt, jaki spotkał naszego rodaka. Pamiętamy zresztą, że międzynarodowe pismo matematyczne „Fundamenta mathematica” zostało zainicjowane przez Polaka, ś. p. Zygmunta Janiszewskiego.

O wielu innych gałęziach nauki możnaby mówić w podobny sposób. Polscy uczeni znani byli przed wojną w całej Europie i Stanach Zjednoczonych. Byli profesorami lub docentami na wielu obcych uniwersytetach. Przed wojną nie mieliśmy dostatecznych funduszy na wydawanie prac naukowych. Środki Akademii Umiejętności i innych towarzystw naukowych nie wystarczały na objęcie całokształtu naszego naukowego dorobku. To też większość prac naukowych Polaków wychodziła zagranicą, w obcych językach. Były to zresztą nietylko prace naukowe, znane były i podręczniki polskich autorów. Do dzisiejszego dnia na wielu uniwersytetach zagranicz-

nych obowiązuje podręcznik histologii Szymonowicza.

Choć jednak wielu polskich uczonych znajduje się wpośród pierwszych świata, to przecież cicho o nich zarówno w Polsce, jak i w innych krajach. Kogóż obchodzą dziś sukcesy na polu nauki? Dziś niestety mierzy się najczęściej walory człowieka ilością zarabianych przez niego pieniędzy. Uczeni są rycerzami błędnymi naszych czasów — tak, jak rycerzami, kieruje nimi miłość prawdy i poszukiwanie prawdy. I właśnie w naszych czasach, czasach materializmu, te sukcesy ducha mają ogromne znaczenie. Uczeni są najlepszą częścią każdego społeczeństwa, oni reprezentują pierwiastek obiektywizmu i poszukiwania prawd wiecznych. W pracach ich, w mozolnych żmudnych poszukiwaniach jest coś naprawdę wzniosłego, coś, co potrafi wzbudzić podziw i entuzjazm. Rycerze prawdy...

Państwo polskie nie zaniedbuje nauki. Niedawno przecież czytaliśmy o uroczystości otwarcia Biblioteki Narodowej, która potrzebom nauki służyć będzie. Przy huku dział jeszcze powołał Marszałek Piłsudski do życia Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, również przed końcem wojny utworzono uniwersytet w Poznaniu, a niedługo potem w Lublinie. W budżecie naszym mamy specjalny fundusz Kultury Narodowej, z którego znaczne sumy idą na podniesienie poziomu naszej nauki.

Wiemy wszyscy dobrze, że walka o byt Polski jeszcze nie ustała. Trwa ona dzisiaj na wszystkich frontach, od wysiłku naszego we wszystkich dziedzinach życia społecznego zależy nasze zwycięstwo. Jedną z najbardziej zaniedbanych u nas dziedzin było życie gospodarcze, czego skutek każdy najbardziej bezpośrednio odczuwa. To też nic dziwnego, że opinia publiczna zwraca się przede wszystkim w tę stronę, nic dziwnego, że zwiększają się rzesze studentów uczelni handlowych. Pamiętajmy jednak, że nie jest to jedyna dziedzina naszego życia. Nie zaniedbujmy walki o Polskę na polu nauki. Zdobyte polskie w świecie tych wartości niezniszczalnych mogą nam przynieść i doraźne korzyści, niemniejsze niż poprawa bilansu handlowego.

Pamiętajmy, że poziom naszej kultury podnieść może przede wszystkim nasza siła intelektów i charakteru. Tem potężniejszy będzie naród, im mocniejsze i silniejsze stworzy ideały, im silniejsze połączą go więzy intelektualne, uczuciowe i wolicjonalne.

W. P.

„...Niewidzialnemi drogami, otworami tajemniczych porów wstępuje tęgie zdrowie w ciało ojczyzny. Słońce i powietrze je karmi, wiatr je podpira, a niepojęta siła życia podwaja i potraja w każdej minucie siły. Rzeczywistość postępu polskiego tworzy się sama wszędzie, na całej szerokości ojczyzny. Tworzą ją ludzie prości, niegłodzi, możnaby powiedzieć pospolici, gdyby nie to, że owocność i pożyteczność ich pracy wynosi ich na czoło: nauczyciel, inżynier, majster, technik, żołnierz, policjant... Stwarza ją nieustępliwa, a zawsze ta sama praca uczonych, którzy z czterech końców świata zeszli się oto i w ciężkiej biedzie, zaiste proletarjackiej, po swojemu budują...”

(Stefan Żeromski — „Snobizm i postęp”).

Wodospady Niagary

Było to w połowie osiemnastego stulecia, kiedy francuscy misjonarze wróciwszy z wycieczki w głąb dzikiej amerykańskiej puszczy opowiadali o potężnym wodospadzie, który z hukiem spada po stromej ścianie skalnej. W kilka lat później tym samym szlakiem powędrował handlarz skór Chabert Joncaire, zobaczył wodospad i postanowił wykorzystać siłę spadku owych olbrzymich wód. Wykopał więc wązki rów i odprowadzał przezeń znikomą część wody w bok, aby pędziła mu maleńki tartak. Działo się to w roku 1757, w miejscu, gdzie dziś nad brzegiem wodospadów Niagary wyrosło ogromne miasto.

Ów tartak francuskiego awanturnika był zarodkiem dzisiejszego Niagara Falls Power Co. W ciągu stu lat tartak krajał drzewa, które następnie zużywano do budowy okrętów, wiozących futra i skóry do ośrodków amerykańskiego i kanadyjskiego handlu. Dopiero od roku 1852 zaczęto budować kanał hydrauliczny, który miał w nieco większym stopniu wykorzystywać siłę wodospadu. Jednak aż do roku 1879 wszystkie plany i projekta zawodziły. W roku 1877 całe przedsiębiorstwo było silnie zadłużone i zostało sprzedane na publicznej licytacji.

Sprawa zaczęła się opłacać dopiero z chwilą, gdy w roku 1879 zaczęto siłą i energią wodospadów zamieniać na elektryczność. W roku tym po raz pierwszy lampy łukowe zasilane prądem, wytwarzanym przez wodospady, oświetliły Prospect Parc, położony po amerykańskiej stronie Niagary.

Było to na owe czasy nie byle jaką sensacją.

Wszak dopiero 10 lat zaledwie temu Thomas Alva Edison otrzymał pierwszą nagrodę za swój telegraf samopiszący i od-tąd w laboratorium New Jersey rozpoczął swą iście wulkaniczną działalność wynalazczą. W tym czasie zaś Edison udoskonalił oświetlenie elektryczne i skonstruował lampki, dające się stosować na większą skalę. Nic więc dziwnego, że tysiące ludzi zaczęło pielgrzymować do owego miasta, by oglądać cudowne wodospady i ulice oświetlone siłą płynącej wody.

Już dwa lata później w roku 1881 miast owych nędznych dwudziestu koni parowych, wykorzystywanych ongiś przez Joncaire'a, dwa tysiące koni parowych wodnej siły zamienia się na energię elektryczną. Dziś zaś gigantyczne kanały odprowadzają czwartą część mas wodnych do turbin, pędzących dynamomaszyn.

Główny kanał jest 10 metrów szeroki, a w każdej sekundzie przepływa przezeń 300.000 litrów wody! W dwóch wysokich halach mieszczą się generatory. W jednej 15 generatorów, dających każdy po przeszło 8000 kilowatów, w drugiej zaś ustawione są trzy generatory, największe na świecie z pośród tych, które są pędzone siłą wodną. Każdy z tych ostatnich daje po 65 tysięcy kilowatów. Ponieważ zaś każdy kilowatt równa się około 5 koniom parowym, więc razem owe generatory przedstawiają dzielność półtora miliona koni parowych!

Zapewne zdziwiłby się poczciwy Chabert Joncaire, gdyby na tamtym świecie dowiedział się co zrobiono z jego tartaku.

Wodospady Niagary oświetlają dziś miasta: Buffalo, Jamestown, Rochester, Syrakury, a kable przenoszą energię elektryczną na odległość 450 kilometrów od jeziora Ontario aż do Nowego Jorku. Większość energii elektrycznej jednak zostaje zużyta przez przemysł elektrochemiczny i metalurgiczny, którego warsztaty znajdują się tuż obok wodospadów.

Ostatnio zamierzają inżynierowie wykorzystać aż połowę wszystkich mas wodnych. Zasadniczo sprawa ta nie byłaby trudna, lecz niestety istnieje Niagara Falls Parc Commission, która jako *condicio sine qua non* stawia utrzymanie piękna wodospadu. Inżynierowie więc wykorzystując maksimum sił wodnych muszą jednocześnie dbać o zachowanie, a ewentualnie nawet powiększenie, majestatycznego uroku wodospadów. Amerykanie bowiem mimo przysłowiowego *business'ostwa* kochają piękno przyrody i starają się gorliwie zachować resztki dawnej

GUY GILPATRIC.

Wielki Wąsacz

Tłumaczyła Zofia M. Stomowa.

(Ciąg dalszy).

„A teraz”, rzekł młody człowiek do żołnierza, wstając i otrzepując sobie ubranie, „powinienem was ukarać za znęcanie się nad zwierzętami i -hm, spowodowanie upadku oficera z roweru. Czemu u licha, wyrzuciliście tego kociaka?”

„Z rozkazu sierżanta, panie kapitanie. To zły omen; przeszedł przez drogę mnie, potem sierżantowi, a teraz panu kapitanowi. To niedobrze dla nas, pan kapitan sam się może przekonać. Jeśli wolno powiedzieć słówko uwagi...”

„Nie pozwalam, zato ja wam dam uwagę.” Burknął młody człowiek ostro, „nie znęcać się nad żadnym czarnym kotem w mojej obecności, bo spotka was wielkie i przykre nieszczeście. Jakto, głupcze, to wy nie wiecie, że czarne koty, to największe i najlepsze szczęście na świecie?”

„Czy wiesz, kto był ten młody gentleman?” ozwał się jakiś głos z okna warsztatów.

„Nie, i nie jestem tego ciekawy”, mruknął wartownik, stając na swoim posterunku.

„A może zmienisz zdanie, jak usłyszysz, że to kapitan Ruthven”.

„Co? Kapitan Ruthven, ten, który zestrzelił siedemdziesięciu Szwabów? ten młodzik? O to źle.” I tu ukazał się wyraz żalu na jego zasmolonej twarzy, kiedy spojrzał na szosę, „żebym to ja wiedział, zabiłbym tego kota, spełniając tem mój święty obowiązek wobec króla i ojczyzny. A zamiast tego, rzuciłem czarną śmierć na drogę bohatera.”

W pięć godzin później Wąsacz był już we Francji, odbywszy podróż w kieszeni lotniczego skórzanego ubrania kapitana Ruthvena. Z początku nie był lotem zachwycony, po jakimś czasie jednak zdecydował, że samolot to nowy rodzaj czarodziejskiej miotły, a on z kapitanem znajdują się w małej podróży astralnej i zasnął smacznie. Nagle, huk motoru zamienił się na przeraźliwy szum i głowa jego napełniła się gwizdem wiatru. Nastąpiło lekkie uderzenie, kiedy kółka i ogon wylądowały jednocześnie. Potem, kapitan Ruthven wysunawszy się wysoko z siodelka, aby móc patrzeć przez nos samolotu, skierował w stronę nierównej linii hangarów Bessoneau, które

dzikiej wspaniałości nowego świata, choć cywilizacja krok za krokiem wypiera ją z jej starodawnych siedzib.

Problem Niagary jest rozwiązalny.

Wodospady owe składają się z dwóch części. Z wodospadów amerykańskich i kanadyjskich w postaci podkowy. Większość bo 94 proc. mas wodnych stacza się po kanadyjskim wodospadzie, a tylko 6 proc. po stronie amerykańskiej, jednak amerykański wodospad przewyższa potęgą i rozmiarami wodospad kanadyjski. Małe wysepki i znajdujące się nieco przed progiem wodospadu amerykańskiego powodują równomierny rozkład wody wzdłuż całej skalnej krawędzi, po stronie zaś kanadyjskiej główna masa spływa po środku i zostawia boki niemal zupełnie suche. Wskutek silnej erozji środek wodospadu wobec tego stale rokrocznie cofa się wstecz mniej więcej o dwa metry. Amerykańscy i kanadyjscy inżynierowie zamierzają wobec tego utworzyć sztuczne wyspy powyżej kanadyjskiego wodospadu i w ten sposób rozprowadzić masy wodne równomiernie po całej krawędzi podkowy. Urok Niagary będzie wówczas bez wątpienia większy, erozja niszcząca kształt podkowy mniejsza, a równocześnie będzie można znacznie więcej, bo około połowę energii spływającej wody wykorzystać dla celów technicznych.

Z tego co wyżej pisaliśmy, wynika, że dzielność wodospadów Niagary można oszacować na blisko 6 milionów koni parowych. Jest to liczba potężna a jednak mamy na naszej ziemi większe jeszcze źródło wodnej energii. Dzielność wodospadów rzeki Zambezi w środkowej Afryce obliczono na 35 milionów koni, czyli blisko 6 razy tyle co Niagara. Przy umiejętnym wykorzystaniu tych wodospadów będzie można zaopatrzyć w energię elektryczną większą część Afryki centralnej, obszar równy Polsce, Niemcom i Czechosłowacji.

Spodziewać się więc należy, że za kilkadziesiąt lat w głębi Afryki, gdzie chwilowo jeszcze przez gąszcze tropikalnych lasów przedzierają się słonie, a liczne gromady małp urządzają swe krzykliwe dysputy wznosić się będą potężne gmachy, które cały swój komfort będą zawdzięczać spadającym masom wodnym rzeki Zambezi.

dr. F. Burdecki.

stały wzdłuż długiej drogi, ozdobionej wysokimi pierzastymi drzewami. Wybiegli mechanicy i uchwycili za skrzydła; wyszła też grupka uśmiechniętych oficerów.

„No więc”, rzekł kapitan Ruthven, wyłączając motor. „Wyłaż, Własacz — jesteśmy w domu”.

I delikatnie wyjął kota z kieszeni, posadził go sobie na ramieniu i zsunął się na ziemię.

A potem:

„Halo, wojacy — co nowego i jak się miewacie? Jak się masz, Sanderson?”

„Dobrze, Skoczku. Tylko wojna zrobiła się djabło nudna bez ciebie. A więc to ma być ten nowy model „Hush-Hush”, na którym mamy wygrać wojnę? A czy rzeczywiście dobry?”

„Nic nie wart, ale te kochane biedaki tam w Farnborough wydali ze 70 tysięcy funtów na stworzenie go i muszę im teraz dać raport. Tak, dziękuję sierżancie, jestem już gotów. Proszę go wprowadzić do hangaru, dobrze? I postawić wartę — która może się, oczywiście, nie zamęczać bezsennością. Chodź, Własacz — idziemy na herbatę.”

„Co za Własacz?” wykrzyknął Cosgrave z eskadry B., ujrawszy kota. „Słowo daję, Skoczku, czyś

LATAJĄCA TRZYNASTKA

(feljeton).

Są ludzie, którzy ogromne znaczenie przypisują pewnym liczbom, a co za tem idzie jednych z nich unikają, jako przynoszących nieszczęście, inne znowu uważają za talizmany.

Znałem przesadnego młodzieńca, który uważając jedynekę za najszczęśliwszą dla siebie liczbę specjalnie wyniósł się na Mokotów, aby móc codzień jeździć jedyneką przynajmniej dwa razy.

Inny fakt. Pewna starsza pani uważała siedem za liczbę szczęścia i dlatego zawsze chowała w domu siedem kotów. Sąsiedzi jej, podobno z tego samego powodu (siedem kotów) uważali siódmkę za liczbę nieszczęśliwą.

Jak więc łatwo osądzić z powyższego zestawienia kabalistyczne własności liczb są naogół rzeczą względną.

Z tego też powodu nie zwracałem długi czas uwagi na liczby odgrywające rolę w mem życiu.

Dopiero, kiedy pierwszy raz spostrzegłem dwójkę na moim blankiecie egzaminacyjnym przekonałem się, że liczby mają potężny wpływ na nasze losy.

Dlatego też zwracam uwagę moich zacnych Czytelników na tę sprawę. Za chwilę zwalczać będę przesąd o szkodliwości trzynastki, zaznaczam jednak, strzeżcie się, bowiem jest liczba, która zawsze młodym ludziom przynosi nieszczęście, a jest nią właśnie dwójka.

Po tym wstępie przechodzę do samej treści zapowiedzianej przez tytuł. Gdyby to był następny rozdział powieści, można by go nader efektownie zatytułować: „Lot w przestworza” lub bardziej po bohatersku: „Szlakiem Lindbergha”, — tym razem jednak trzeba ograniczyć się „a więc do rzeczy, młodzieńcze”, jak zwykł mówić jeden z mych dawnych profesorów.

Pięknego czerwcowego popołudnia wybraliśmy się całą paczką na lotnisko, obiecano nam bowiem, że będzie można polatać samolotem.

ty zwarjował? Zrzuć tego zwierzaka z ramienia.” „Ależ tak, zrób to” nalegał Sanderson. „Czarne koty przynoszą nieszczęście.”

„Bajdy”, odpowiedział Ruthven, idąc do kantyny. Przyzwyczajcie się lepiej, chłopcy do Własacza, gdyż mianuję go Maskotą Eskadry, aby zastąpił różne amorki, królicze łapki i inne błagi, które służyły wam dotychczas.”

„Ordynans, proszę siedem razy whisky z wodą sodową — ależ, Skoczku, nawet historia wykazuje, że czarne koty bywały zawsze fatalne. A tymczasem...”

„Ja wam daję „Wielkiego Własacza”, przerwał kapitan Ruthven, wnosząc szklanek.” Ordynans, proszę podać spodek mleka dla nowej maskoty Eskadry. Założę się, że w ciągu tygodnia on zostanie solo dla wszystkich tchórzy.”

W taki to sposób, pełen godności i w obliczu wielkiej opozycji, objął Własacz swe obowiązki, jako maskota 9-ej Eskadry Lotniczej. Chociaż poczuwał się do głębokiej wdzięczności dla kapitana Ruthvena i odpowiedzialności za jego życie, to jednak kierował się bezstronnością i przynosił szczęście całej Eskadry. Mimo to, nikt go nie lubił, a wszyscy, aż do sceptycznie usposobionych młodych gentlemenów,

Było nas sześć osób migoczących już z oddali świeżemi, białemi czapkami.

Jak dziś pamiętam, że staraliśmy się wobec koleżanek odgrywać rolę starych „wilków powietrznych” (proszę wybaczyć, jeżeli wyrażam się źle, ale doprawdy terminologię „wilków morskich” i „asów przestworzy” zachowują tylko tradycyjnie, choć wcale się z nią nie zgadzam; gdybyśmy bowiem pragnęli wyrazić zalety obytych z żywiołem jednostek mówilibyśmy raczej: „foka morski” lub „orzeł przestworzy” — byłoby to nawet znacznie ładniej, podaję przykład: „Spójrz, idzie kapitan X, stary foka morski!” — no, co, co, może źle?).

Widzę jednak, że stoję się zbyt rozwlekły, więc streszczam się.

Kiedy wreszcie po wszelkich formalnościach wylądowaliśmy się do ogromnego Farmana i zajęli miejsca, okazało się, że było nas akurat trzynaście osób, bowiem w międzyczasie przyłączył się jakiś lotnik z towarzyszką ubraną w kominarkę i okulary lotnicze, oraz kilku nieznajomych młodych ludzi.

Zawarczały motory.

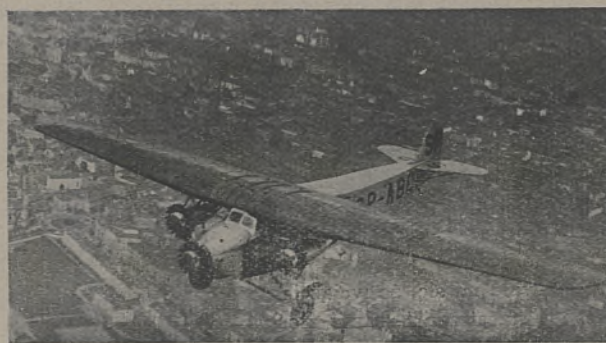
— Czy wie pan — szepnęła mi do ucha jedna z pań — z pilotem jest nas trzynaście osób!



unikali go, płoszyli, wierząc natomiast w głupie czterolistne koniczyny, idiotyczne pary laleczek, zwanych Nanette i Rin-tin-tin, oraz w cyfrę trzynaście. Sumiennie poświęcał większą część swoich dni i całe noce na zamawianie uroków dla każdego pilota z osobna i Eskadry, jako całości. Zważywszy warunki życia na froncie, była to praca trudna — a nawet uciążliwa. Wyposażenie Eskadry zawierało bardzo mało przedmiotów „materia magic”, potrzebnych do działalności maga; a poza tem, huk strzałów wystraszył te elfy, gnomy i wróżki, któreby mu przyszły z pomocą. Wobec tego zmuszony był polegać na sobie samym.

Gorliwości jego, jako maskoty, zawdzięczać należało, że nieprzewidzianych wypadków było w Eskadrze mało, a może też potrosze i temu, że na odcinku panowała cisza. A jednak słusznie i sprawiedliwie mógłby być zapytać, kto na odcinek sprowadził ciszę?

Tymczasem tylko jeden kapitan Ruthven wierzył w niego. Siła jego powiększyła się wraz z wiekiem, urodą i doświadczeniem i wiedział o tem dobrze. Opracował kilka niezawodnych magicznych formułek, opartych na naukach Merlina, Cagliostro i Zoroastra. Zdarzył się tydzień, w którym stracono jedenastu Niemców i podczas, kiedy Ruthven głośno



— To bardzo szczęśliwie.

— Więc pan nie jest przesądny, bo gdyby jednak zdarzył się jaki wypadek...

— Pst — przerwałem — w trzynastkę nie wierzę, ale o wypadku w takiej chwili nie należy mówić, bo...

Pełnym gazem puszczono motory zagłuszyły dalszy ciąg mej nieprzesądnej przemowy. Ruszyliśmy z miejsca.

Potem wszystko działo się bajecznie szybko. Był wiatr tak szalony, że czułem, jak moje policzki, a nawet i powieki zaczęły łopotać nakształt małych żagli (stałem tuż za jednym z motorów, na podwyższeniu przeznaczonem dla strzelca do pół ciała wystawiony na działanie wiatru).

Pod nami rozpościera się przedziwnie płaska ziemia. Cała składająca się z miniaturowych, lecz dokładnie widocznych domków, ludzików i zwierzątek — zwłaszcza krowy na pastwisku, gdzieś pod Warszawą wyglądają nadzwyczajnie.

Nagle czuję, że mój towarzysz chwytą mnie za ramię i coś mówi, lecz go zupełnie nie słyszę. Nachylam się więc do niego i krzyczę z całej siły. Z przerażeniem jednak spostrzegam, że sam nie słyszę swego głosu.

Od tej pory porozumiewaliśmy się trącając się łokciami i pokazując wszystko palcami jak dzieci.

A było to wszystko rzeczy niezwykle. Zwłaszcza grote-

wyrażał mu swą wdzięczność za tych trzech, co wpadli pod ogień jego Vickersa, inni piloci podzieleni swą sławę między siebie, albo z pewnymi srebrnymi znakami, misiami z aksamitu, lalkami z gałganków i innemi fałszywemi bóstwami, jakie mieli przymocowane do ram bojowych samolotów. O, tak, w historii życia czarnoksiężników bywało zawsze ciężkie...

Nadszedł czas, kiedy Niemcy postanowili słuszność swej sprawy i jałowe wysiłki Aljantów, rozgłaszać za pomocą propagandy. Był to pewien rodzaj pustej gadaniny, podawanej okresami przez obie strony i zaczynającej się od słów: „Żołnierze”. Odłóżcie broń. „Nie z wami wiemy spór, tylko z waszym rządem, który was eksploatuje...” i tak dalej w krasomówczym zapale. Niezliczone utwory tej propagandy przesyłane były małemi balonami, które były gorliwie wylapywane przez sojusznicze wojska i gonione kilometrami, o ile się tylko ukazały. Oczywiście, nikt nie trudził się odczytywaniem ulotek, ale balony zrobione były ze świetnego jedwabiu, który za piętnaście franków można było kazać przerobić w najbliższej wsi na elegancką pyjamę.

Pewnego ranka, tuż przed świtem, kiedy Własacz powracał po całonocnych inwokacjach do księżyca, zdarzyło się że zawarł znajomość z pewnym stworem.

skowo - niesamowity był widok niewielkiego, jak nam się zdawało, ciągle drgającego, ogona naszego płatowca na tle odległej o kilkaset metrów ziemi.

Zato po powrocie na ziemię z zapłakanymi od wiatru oczami pełni kosmicznej radości i pędu wędrowaliśmy triumfalnie po mieście, aby opowiedzieć komu się tylko dało, żeśmy latali samolotem.

Od tej pory pozostała mi już na zawsze ogromna sympatja dla lotnictwa.

Tego jednak pierwszego dnia byłem poprostu oszołomiony. Zdawało mi się, że wciąż jeszcze czuję świeży powiew bezkresnej przestrzeni — lecz złośliwi mówili, że to zapach oleju rycynowego, którym oliwi się motory samolotów.

M. O.

KARJERA „KRÓLA PRASY”

Późniejszy król prasy zaczął od tego, iż przyczynił się do wielkiego zmartwienia swej rodziny; był bowiem jej „zakałą” i „hańbą”. Osądźcie bowiem sami: ojciec jego, poważny bankier, uplanował sobie, iż syn jego zostanie adwokatem. Zdawałoby się, iż sprawa jest przesądzona: syn jego, zaczął, jak przystało, „terminować” u adwokata — i wszystko zapewne byłoby w porządku, gdyby młody Alfred czuł powołanie do tego zawodu. Tak jednak nie było — i wówczas „hańba” rodziny nie cofa się przed takim skandalem jak samowolne opuszczenie kancelarii adwokackiej — i decyduje się na ucieczkę z domu rodzicielskiego. „Syn marnotrawny” został wyklęty przez rodziców i znalazł się na bruku wielkomiejskim niemal bez środków do życia. Dostał wprawdzie wkrótce zajęcie reportera w jednej z gazet londyńskich, lecz zarobki jego były tak nikłe, iż tylko głęboka wiara w swe powołanie, pozwoliła mu wytrwać na nowej drodze i nie powrócić na łono oburzonej rodziny. W młodej głowie Alfreda kłębiły

się najrozmaitsze plany i pomysły, opierające się na jednym spostrzeżeniu. Otóż w miarę przenikania oświaty do coraz szerszych kręgów ludu — pojawiły się nowe kontyngenty „potencjalnych” czytelników; żadna gazeta nie zdobywała ich przecież — gdyż była zbyt poważna dla tych ludzi, którzy nigdy w swym życiu gazet nie czytali, — i nic nie czyniła by stać się dla nich dostępną. Przyszły lord Northcliffe od razu się zorientował, iż jest to olbrzymia, niewykorzystana żyła złota. Z pomysłu swego zwierzył się pewnemu wydawcy — któremu przedstawił nawet projekt pierwszego numeru tygodnika, przeznaczonego dla tych nowych czytelników. Na treść projektowanego pisma miały się składać krótkie, bardzo popularnie ujęte artykuły, szereg anegdot oraz pytania z nagrodami za trafne odpowiedzi. Wydawca wydrwił jednak niemiłosiernie zabawny pomysł początkującego reportera. Ten nie dał przecieżyć za wygraną: wierzył w słuszność swego pomysłu. I oto zaczął sam wydawać tygodnik, według nakreślonego wyżej planu. I nie omylił się w rachubach: tygodnik jego z miejsca zdobył sobie publiczność dla której był wydawany. Powodzenie nowego pisma było tak wielkie, iż już po dwu latach wydawnictwa — redaktor jego był „grubą rybą”, posiadając znaczne kapitały. Wkrótce „Napoleon” otrzymał cios bolesny, bowiem nagrodami jego tygodnika zainteresował się Sąd. W Anglii wszelkie loterie są zabronione, a nagrody nowego tygodnika zostały uznane za rodzaj loterii. Sprawa sądowa, która nabrała wielkiego rozgłosu, została przez młodego wydawcę przegrana. Cios był wprawdzie bolesny — lecz nowy tygodnik był już tak popularny, iż rozpowszechnienie się jego było już niezależnione od nagród. Wkrótce po sprawie — przyszły lord zaczyna wydawać nowy dziennik „Daily Mail”, również przeznaczony dla szerokich mas, a kosztujący od innych dzienników o połowę taniej. Droga do potęgi była otwarta. Zaledwie 10 lat ubiegło od chwili gdy ukazał się wspomniany tygodnik — a majątek wydawcy oceniano już na pokaźną sumkę — 100 milionów funtów szterlingów. Lord Northcliffe był już wówczas właścicielem blisko dwudziestu dzienników.

Możliwe, że ten ostatni był małym elfem, dezertującym z któregoś z irlandzkich pułków; w każdym razie, zaprowadził Wąsacza za hangary i pokazał mu zmięty i płaski balon propagandowy, zaczepiony na krzaku. Wąsacz, czując czarodziejski podstęp, zabrał się niezwłocznie do zniszczenia go. Zanim jednak skończył, zaczęto już rozgrzewać motory dla porannego patrolu. W szarej mgłę widać było pilotów, palących papierosy.

Łącznikowy oficer, porucznik Cosgrave, szykował się, aby jechać w koszyku motocykla do Dywizji, gdy nagle spostrzegł coś, co go zatrzymało. Spojrzał na wskaźnik wiatru, poruszający się ociężale na wczesnym podmuchu. Tak, wiatr był z zachodu.

„O, jak ciotkę kocham” wykrzyknął nagle. „Popatrzcie na mnie, chłopcy, patrzcie tylko uważnie...” Podszedł do maskoty. „Kici, kicici, tu, tu”, zawołał „co za cacany stary kotek, kicici...” — i bardzo ostrożnie wziął kota na ręce, owinał go w balon i wpakował się do motocykla.

„Ruszać” zakomenderował. „I ani słowa o tem Ruthvenowi, pamiętajcie.” Staniecie przy pierwszym z brzegu balonie obserwacyjnym — pożyczymy sobie trochę wodoru i wyprawimy naszego sławetnego

Wąsacza na małą przejażdżkę do Niemiec. Pyszny kawał? Co?”

„Rozkaz” zachichotał kierowca, kiedy wyjechali na szosę, „ten czarny djabelec przyprawiał mnie zawsze o gęsią skórę”.

Ranek potoczył się w Eskadrze zwykłym trybem; wyrfunęły wywiadowcze patrole, robiono obserwacje i fotograficzne zdjęcia. Koło południa Ruthven poczuł niepokój. Wąsacz nie zjawił się na śniadanie, mimo, iż pukał na niego łyżeczką o talerz z ryżem, który to odgłos sprowadzał zawsze kota z najodleglejszych zakamarków aerodromu.

„Poszedł na szczury, Skoczku, wróci na lunch”. Uspokajał go Sanderson, zerkając na resztę załogi. Ale przeszło i drugie śniadanie, a kota ani śladu.

„Przekłète licho”, burczał Ruthven. „Nigdy się jeszcze tak nie chował, jak dziś. W hangarach go też niema. Mam nadzieję, że znajdzie się przed drugą godziną.” I resztę posiłku zjadł w zupełnem milczeniu.

„Wiesz co?” szepnął O'Brien. „Ja myślę, że on coś podejrzewa...”

„Więc cóż”, odpowiedział Sanderson, „to najszczęśliwszy dzień w jego życiu, chociaż sam o tem nie wie.”

(D. c. n.)

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

„REJÓWK A”

Gimnazjum im. M. Reja, zdając sobie w pełni sprawę z konieczności bezpośredniego zetknięcia się przez jakiś dłuższy czas chłopców wzajemnie ze sobą i z nauczycielami bądźto wychowawcami, postanowiło utworzyć własne osiedle. Trudno było jednak z początku, dopiero dar warszawskiego Zboru ewangelicko - augsburskiego, który na cele osiedla podarował 15 morgów gruntu i obszerny piętrowy, niewykończony co prawda, dom, położony o półtora kilometra od stacji Kąty (na linii kolejki grójeckiej), mógł zapoczątkować pracę. Toteż pomiędzy jesienią 1928 roku, a lipcem 1929 Szkoła i Towarzystwo opieki rodzicielskiej mogły poczynić najważniejsze prace i oddać w nowym roku szkolnym 1929/1930 „Rejówkę” do użytku gimnazjum. Uporządkowano wtedy drogę dojazdową, zaprowadzono kanalizację, wodociąg, urządzono 33 metrową studnię artezyjską, założono telefon międzymiastowy, splantowano boisko (17.000 m. kw.). Wszystkie te inwestycje kosztowały około 140.000 zł. Główną zasługę w organizowaniu osiedla przyznać należy p. Dyrektorowi Rontalerowi oraz pp. Jantemu i Gollerowi, prezesowi i sekretarzowi T. O. R-u. Tak powstała „Rejówka”.

Jak ona teraz wygląda? Jest to budynek piętrowy, z piwnicami i strychem oraz z tarasem umieszczonym na wysokości parteru, nieotynkowany. Na parterze na wprost głównych drzwi korytarz - szatnia. Pierwsze drzwi na lewo prowadzą do pokoju gospodyni „Rejówki”, która tu zamieszkuje, drugie do dużego pokoju — klasy o dwóch oknach oraz szklanych drzwiach na taras. Z klasy można się jeszcze dostać do małych pokoi: jeden Dyrektora, drugi rezerwowi. W tym studjum mieści się też kominek z malowanymi kaflami, które jako „cegiełki” (po 150 zł.) są zakupywane przez nauczycieli, rodziców bądź klasy, pozatem stoły, ławki, tablica. Na korytarzu jest budka telefonu, obok t. zw. „Aha!”. Na prawo najpierw wchodzi się do świetlicy, ładnie przybranej, z ładnymi meblami, radjem, biblioteką, różnymi gramami. Następne wejście do jadalni, też dużego pokoju, mającego połączenie za pomocą windy z piwniczną kuchnią. Na pierwszym piętrze są duże sypialnie, z żelaznymi łóżkami zaślane siennikami i jednakowymi pledami, pokój dla wychowawcy, korytarz - szatnia, pokój z szafkami na bieliznę, ubrania i książki, ubikacje. Na strychu składa się zawsze багаże. Umywalnie i prysznice (woda zimna i gorąca) umieszczone w ciepłych piwnicach. Wszędzie ściany malowane, elektryczność, centralne ogrzewanie etc. Obok gmachu jest mała elektrownia, parę gospodarskich zabudowań, wieża - tor saneczkowy oraz ogromne boisko. Naokoło zaś lasy.

Jak płynie życie w tem osiedlu? Zazwyczaj przejeżdżają klasy na 5 — 7 dni razem z swym wychowawcą, a każdego dnia dojeżdża z Warszawy któryś z nauczycieli w celu odbycia lekcji w zakresie swej specjalności. Są jednakże i krótkie jedno lub dwudniowe wycieczki li tylko o charakterze przyjemności. Taka zazwyczaj klasa wyjeżdża rano z stacji kolejki grójeckiej przy placu Unji, przybywa niedługo przed obiadem na miejsce rozlokowuje się i o ile to jest dzień powszedni, to właściwa lekcja odbywa się po obiedzie. Zazwyczaj ten pierwszy dzień nie „idzie” zupełnie normalnie. Bowiem panuje zawsze dopiero pewne wdyscyplinowanie się w nowe przepisy. Przebieg zwykłego dnia jest następujący. Wstaje się o godz. 7. Gimnastyka, mycie, (pod okiem kąpielowych-dyżurnych kolegów; dyżurni są wyznaczani wszędzie codziennie przez obra-

nego szefa) ubranie się, posłanie łóżek musi się wykończyć do godz. 8, to znaczy do modlitwy (w klasie). Po śniadaniu czas wolny do 9 od której to do godz. 11 (z minutami) trwa zazwyczaj lekcja. Znowu „wolne” do obiadu, który jest o 12. Po obiedzie piętnaście minut obowiązkowej ciszy i odpoczynek, później „wolne” do podwieczorku (16), chociaż czasami wychowawca może urządzić jakąś swoją pracę. Po podwieczorku studjum (przedmiot wychowawczy, bądź odrabianie lekcji), trwające zazwyczaj dwie godziny. O 20 (z minutami) kolacja. Przed dzieśnią modlitwa, mycie i spać! Tak się kończy „procowity” dzień w „Rejówce”. Stosunek do wychowawcy jest zawsze jaknajlepszy. Wszyscy się zżywają i wszyscy co najważniejsze mogą odpocząć, zaczerpnąć świeżego powietrza (przechadzki, gry w piłkę na dworze), zdobyć chęci i siły do dalszej owocnej pracy w murach miejskich.

L. K. Kurcewski

Odpowiedzi działu literackiego

P. Mieczysław Mrówka, Sosnowiec.

List Pański sprawił nam więcej radości, niż Pańskie wiersze. Musimy powiedzieć odrazu: wydały się nam one bardzo złe. Rażą nas przede wszystkim jaskrawe błędy i niedociągnięcia w wierszowaniu, błędy spotykające się we wszystkich trzech nadesłanych utworach. Czasem jedno słówko, jedna sylaba mogłaby ocalić strofę — a Pan tego ocalenia unika. Wiersz „Młodzieńcze!” (żeby już nie mówić o rażących błędach gramatycznych jak w wyrażenia „do celu proga”) — nic właściwie nie wyraża, poza jedną wytartą i banalną myślą, że trzeba dążyć naprzód, łamać przeszkody itd. Panie, na to już nikt się nie da nabrać! Na dzisiejszego czytelnika trzeba wpływać w sposób niemal podstępny, myśl przewodnią trzeba przemycać, a nie — jak Pan — ubierać w szablonowe słówka bez wartości.

Wiersz „Uśmiech nicości”, napisany o wiele gorzej, zawiera nieco głębszą myśl. Wprawdzie obraz, przedstawiony przez Pana wydaje nam się nieco ponury, ale godzimy się z dobrą intencją. W takich programowych wierszach powinno się unikać słów, że tak powiemy — gospodarskich jak np. „konserwy”. To bardzo psuje wrażenie.

O wierszu „Duma zakochanego” nie mamy odwagi pisać. To doprawdy, najgorszy utwór, jaki zdarzyło się Panu stworzyć. Wszystko tu jest złe: forma, treść, rymy, wyrażenia, zdania. Nie możemy się zgodzić na wyrażenie: „wniknie uśmiech błogi za Nią”.

Może będzie lepiej, jeśli Pan zacznie pisać prozą. Czekamy na pierwszą próbę, a tymczasem dziękujemy za życzenia.

P. E. F. W.

Problemy poruszone przez Pana wybiegają poza ramy naszej działalności, jako współpracowników pisma dla młodzieży. Możliwe, że ankieta, proponowana przez Pana dałaby materiał obfity i pouczający, ale czy Pan jest taki pewien, że kierunek jej byłby zgodny z Pańskimi poglądami? Ani na chwilę nie trzeba zapominać, że to, co się Panu w rygorze szkolnym nie podoba, nie jest tylko kaprysem czynników w tym wypadku miarodajnych — jest przede wszystkim wykonywaniem umowy Państwa z Kościołem. Trzeba państwu lojalnie допомагаć. Przecież za parę lat wolno Panu będzie przemówić na „dorosłej” trybunie i walczyć z równymi sobie o swoje przekonania.

KRONIKA SPORTOWA

Wspominaliśmy już w swoim czasie o inicjatywie Związku Polskich Związków Sportowych, który drogą referatów i następujących po nich dyskusyj usiłuje oświecić stan obecny sportu polskiego pod względem etycznym, organizacyjnym itd. i określić środki, jakie przedsięwziąć należy, aby dalszy rozwój poszedł we właściwym, dodatnim kierunku.

Inicjatywę, oczywiście, powitać należy z uznaniem i z radością. Sport stał się dziedziną życia o tak poważnym znaczeniu i o tak wielkim wpływie na ukształtowanie się charakteru swych adeptów, że każdy wysiłek, zmierzający ku powiększeniu jego zalet wychowawczych ma dużą wartość.

Uchwały jednak, które zapadły lub zapadną na zebraniach najwyższej naszej magistratury sportowej, tylko wtedy skutek osiągnąć mogą gdy... zostaną wykonane. A Związek Związków nie posiada żadnej egzekutywy, niema prawa niczego rozkazać. Usłuchanie czy nieusłuchanie jego apelu zależy od dobrej woli szerokich mas sportowych.

Czy tę dobrą wolę okażą? Czy pójdą po twardej drodze moralnego obowiązku, niezawsze przyjemnej i niezawsze laury przynoszącej, czy też ulegać będą nadal, coraz łatwiej, podszepotom zła, obiecującym zdobycie efektownych triumfów takim kosztem, kosztem lekkiego zamykania oczu na skrupuły etyczne?

Zdawałoby się, że odpowiedź jest jasna: niestety — instynkty złe niezawsze są mocniejsze od dobrych, i brzydki przykład częściej jest naśladowany od pięknego. Więć zeszpecenia życia sportowego przez fałszywe ambicje, niezdrowe rozumienie współzawodnictwa, zmysł handlowy, fanatyzm klubowy i dążenie do zwycięstwa za wszelką cenę — nie da się powstrzymać!

Tak powiedzą wszyscy sceptycy i pesymiści, wszyscy... starsi.

Nie będą mieli racji, jak nigdy nie miewają racji, prorokując zwycięstwo Arymana nad Ormuzdem. Bo — bądź co bądź, choć z trudem, choć bardzo stopniowo — światło stale pokonywa ciemność.

Dzięki czemu? Dzięki szlachetnemu zapałowi młodych.

Weźmy oto przykład z historii — najaktualniejszy, bo dotyczący powstania listopadowego, którego setną rocznicę właśnie obchodzimy.

Podczas gdy starsi, doświadczeni, ostrożniejsi, mniej w siłę żywotne Narodu ufn — dyskutowali nad „orientacjami” nad posunięciami faktycznymi we wszelakich lekliwych pertraktacjach z najeźdźcą — młodzi podchorążowie Piotra Wysockiego podnieśli śmiało żagiew buntu, sztandar walki orężnej o Niepodległość.

Ulegli, ale Historia im przyznała rację; nie polityka „starszych” zwróciła nam Ojczyznę, a czyn zbrojny, a pełne wiary w siebie odważne wystąpienie młodych legionistów Józefa Piłsudskiego, spadkobierców w prostej linii bohaterów nocy listopadowej.

Porównanie wszelkie tu, oczywiście, byłoby ryzykowne, ale czy nie wolno by jednak powiedzieć, że młodzi Polacy dzisiejsi, ci, którzy Ojczyznę wolną już mają — zadanie swe obywatelskie spełnią dobrze, i godni się staną swych poprzedników z przed lat stu i lat piętnastu, tylko wtedy, gdy z takimż młodzieńczym zapałem, takąż pełną wiarą w zwycięstwo dobrej sprawy pracować będą nad wzmocnieniem Zmartwychwstałej, nad powiększeniem kapitału sił duchowych i fizycznych jej ludności?

Czyli — pracując dla dobra i rozwoju kultury fizycznej, której odcinkiem najszlachetniejszym jest sport?

Dlatego właśnie sądzić wolno i sądzić trzeba, że apel Związku Związków, nawołujący do uzdrowienia i upiększenia — nie padnie w próżnię. Usłyszają go i usłuchają tysięczne rzesze młodzieży polskiej, tej tak idealistycznej, tak skłonnej do szlachetnych porywów młodzieży, która już tyle pięknych kart naszej historii wypisała.

Młodzież ta pokaże przykład, okaże się na czele, choć w hierarchii sportowej na samym dole się jeszcze znajduje. Zawstydy starszych, zgorzkniałych, wskaże im, doświadczonym, drogę, tak jak jej poprzednicy ją ongi wskazywali.

I dlatego nie trzeba ironicznie kiwać głową, gdy się słyszy, że Z. Z. uchwała zwórcenie się z apelem — aby pomyśleć o podniesieniu poziomu moralnego życia sportowego. Bo są tacy — i jest ich bez liku — których te nawoływanie do większego piękna, do większej rycerskości, do wykazywania się wyższym poziomem cnót — nie zostawi nieczułych, którym się oczy zaiskrzą, którymi owałdnie ogień zapału, i którzy pokażą, że i na tym polu młodzież polska wstydu sobie nie zrobi.

W. J.

H U M O R

Gość, wskazując na tylko co podany półmisek: — Co to takiego?

Kelner, słuchając orkiestry: — To kawał z „Wesołej Wdówki”.

— Co robili żydzi po przejściu przez Morze Czerwone?
— Suszyli się.

— Czy ktoś pomagał ci napisać to wypracowanie?
— Nie.
— Naprawdę?
— Całe wypracowanie tatuś sam napisał.

Do artykułu p. t. „Pieśni narodowe w 1830 roku” w Nr. 19 „Sternika” wkradła się omyłka drukarska: w wierszu czwartym od dołu na str. 3-ej powinno być: „J. Słowaczyńskiego”, a nie „J. Słowackiego”.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 639-86. Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów w poniedziałki i czwartki od 6 do 7 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł. 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Sekretarz red. M. Ochowicz. Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80, 635-83.